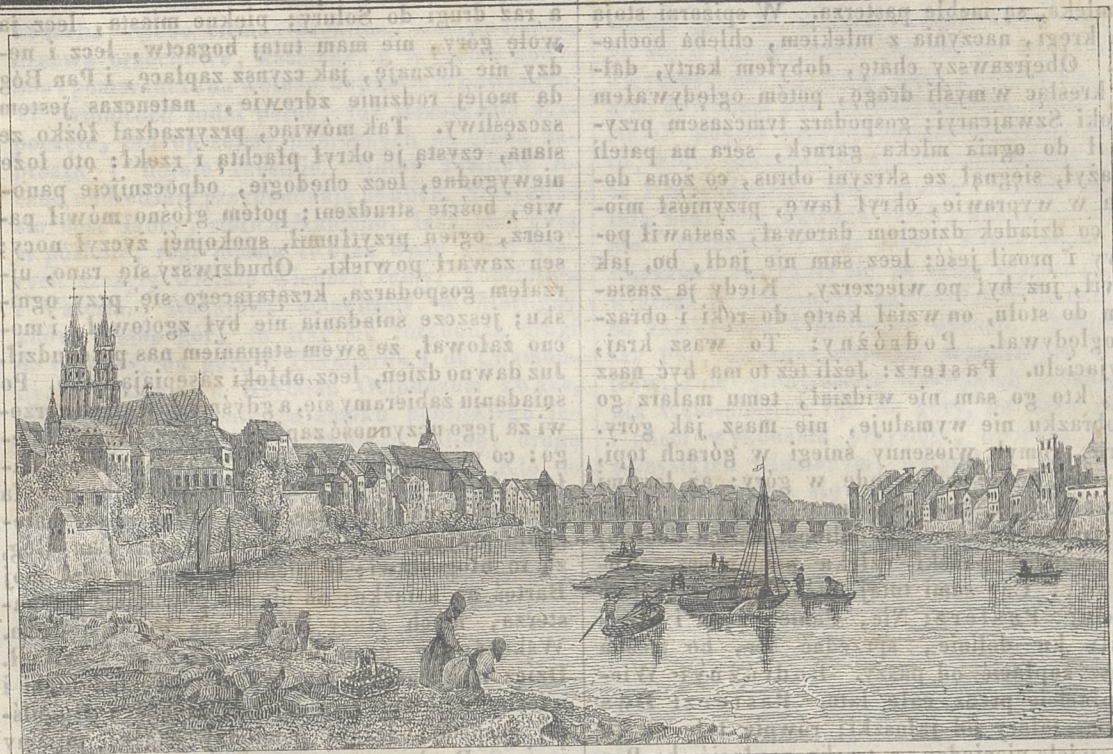


# Przyjaciół Ludu.

ROK DZIEWIĄTY.

No. 7.

Leszno,  
dnia 13. Sierpnia 1842.



Widok miasta Bazylei.

## Pielgrzymka młodego Polaka z Bonn do Szwajcaryi r. 1841.

(Dalszy ciąg.)

### Rozdział VII.

Gemmi. Leuk. Wallis.

Pięknie, nader pięknie w dolinie, a jednakże ciągnie nas w góry; przed nami leży Gemmi, przez jej grzbiet droga wiedzie. W Kandersteg, ostatniej wiosce u stopy góry, posiliwszy się, spieszyliśmy pod górę, bo cztery godziny do gospody, a słońce już się miało ku schyłkowi. Droga uciążliwa, pot kipi, słońce zapadło, księżyc srebrne rozlał światło, dwie godziny już się pniemy; oto wielka płaszczyzna, lecz nie bujne żyta kłosa na niej się kołyszą, ni wonna rośnię trawa, nieme glazy, jakby na grobach leżą rozrzucone, dziko wszędzie, głucho wszędzie, w około sterczą nagie gór szczyty, obłoki na niebie błędzą, wiatr wyje w górach, księżyc zachodzi, już jak nad meczetem tureckim stoi pół księżycyca nad kończą górami, zaszedł,

ciemno, droga mylna, zginęła. Cóż począć? światło się ukazało i zniknęło, był to gwiazdy błędzącej mglny świetlnik; wolno stąpamy, koshsturami bezpiecząc krok. Znow się ukazało światło, dążymy prosto ku niemu przez kamienie i doły; już głos kóz beczących słychać, strzecha, kiję nasze głośno stukają o kamienie, mieszkanie chaty uchylił drzwi i zawołał: „Któż o tym czasie błędzi po górach? Podróznicy: Dajcie, przyjacielu, przytułek podróżnym, co zgubiwszy drogę, do waszój zaszedł chatki, lub wskażcie drogę do gospody. Niesłuchał ostatnich słów, tylko utworzył drzwi i świecać łuczywem, wprowadził do zadymionój strzechy; przywitał, odebrał rzeczy, wynknął ławę i prosił siedzieć. Pasterz: Do gospody jeszcze dwie godziny, panowie strudzeni i głodni; co uboga chata pasterza alpejskiego posiada, tém posłużę. Oto mleko świeże chwilowym będzie posiłkiem, niżeli przyrządę wieczera, i podał czarę smacznego mleka. Była to chata Sena; dawno pragnąłem przenocować u takiego pasterza, lecz

gdzie nie ma potrzeby, tam każdy podróżny woli wygodę w gospodzie. Przypadek tutaj mnie wprowadził. Chatka mała z desek zbita; ściana tylko pasterza od lubego mu bydła odgranicza; ognisko wielkie w rogu, a dym przez spary i dach, kamieniami obciążony, się tłoczy; łożo, skrzynia, dwie ławy i drewniane naczynia do mleka, są meble pasterza. W spiżarni stoją siera kręgi, naczynia z mlekiem, chleba bochenek. Obejrzawszy chatę, dobytek karty, dalszą kreśląc w myśli drogę, potem oglądałem widoki Szwajcaryi; gospodarz tymczasem przystawił do ognia mleka garnek, siera na pateli usmażył, sięgnął ze skrzyni obrus, co żona dostała w wyprawie, okrył ławę, przyniósł miodu, co dziadek dzieciom darował, zastawił potrawy i prosił jeść; lecz sam nie jadł, bo, jak mówił, już był po wieczerzy. Kiedy ja zasiadłem do stołu, on wziął kartę do ręki i obrazki oglądał. Podróżny: To wasz kraj, przyjacielu. Pasterz: Jeżeli też to ma być nasz kraj, kto go sam nie widział, temu malarz go na obrazku nie wymaluje, nie masz jak góry. Skoro promyk wiosenny śniegi w górach topi, ja wesół pędzę mą trzodę w góry; aż lzy mi w oczach stoją, kiedy wspomnę, że zima się zbliża i trzeba powracać w dolinę, tam mi duszno, tam rządcza pański człeka poniewiera. Podróżny: Czy sami tutaj w górach przez lato żyjecie? Pasterz: Nie, Panie, żona i dzieci poszły ku dolinie, sprzedać sier, bo trzeba czynsz zapłacić od paszy. Podróżny: Wielez płaciecie przez całe lato. Pasterz: Dwa koronne talary od jałoszki; równie tyle za 10 kóz; wiele pieniędzy, a trzeba zapłacić, bo Pan każe, (góry w ogóle należą do rządu, tylko miejscami do osób prywatnych). Podróżny: Cóż tak waszego Pana się boicie. Pasterz: A bogactwo tam się nie bać, teraz Pan nie ma litości nad chłopem; inaczej dawniej bywało, jak mi teść powiadał, co mieszka w karczmie w dolinie, pewnieście panowie do niego wstępowali. Podróżny: Czy może gospodarz w Kandersteg, to uczciwy starzec. Pasterz: To on, mój teść, często mi mawiał, jak to Pan dawniej żył z chłopem w przyjaźni, dziś nim gardzi. Dawniej kiedy było wesele lub chrzciny, cały dwór się zjechał, chojne dawali podarki, do jednego z chłopem zasiadli stołu; a w domu nowożeńców w każdym oknie jedną kazali wprawić szybę z swoim herbem, aż miło było patrzeć; u teścia jeszcze trzy nieuszkodzone są zachowane; teraz zaledwie się odkłoni. W górach ja pan, ja sługa; moje pole nie ma granic, nikt mi kozy nie zajmie, chociaż daleko bliździ. Nigdy szczęk broni mego nie klóci pokuju, chyba strzelec, co za kozą goni alpejską, a w dolinie ciągle wojny. Podróżny: Czyżescie i wy, przyjacielu, byli u żołnierzy. Pasterz: Nie, Panie; małym byłem chłopcem, kiedy ojciec mój pracował nade drogą do Wlo-

szech; a kiedy wojsko przechodziło, matka ze mną też poszła patrzeć; co tam tego było, młodzi panice, suto ubrani, a wielu ich tam powróciło! Podróżny: Nie zawsze też w dolinie wojny, a w pokoju i tam ładnie. Pasterz: Będąc mołojcem obejrzałem się też w świecie i widziałem płaskie kraje; posłałem mnie aż do Bernu, a raz drugi do Solury; piękne miasta, lecz ja wolę góry, nie mam tutaj bogactw, lecz i nędy nie doznaję, jak czynsz zapłacę, i Pan Bóg da mojej rodzinie zdrowie, natenczas jestem szczęśliwy. Tak mówiąc, przyrządził łożko ze siana, czystą je okrył płachtą i rzekł: oto łożo niewygodne, lecz chędogie, odpocznijcie panowie, boście strudzeni; potem głośno mówił pacierz, ogień przytłumił, spokojnej życzył nocy; sen zawarł powieki. Obudziwszy się rano, ujrzałem gospodarza, krzątającego się przy ognisku; jeszcze śniadania nie był zgotował, i mocno żałował, że swem stąpieniem nas przebudził. Już dawno dzień, lecz obłoki zasępiają niebo. Po śniadaniu zabieramy się, a gdyśmy dawali pasterzowi za jego uczynność zapłatę, usłyszeliśmy od niego: co miałem, to wam, moi Panowie, chętnie daję; żadnej nie żądam zapłaty; piękna by była gościnnosc za pieniądze. Na usilne nasze naleganie przyjął i rzekł: niech wam, Pan Bóg, za to błogosławi; te pieniądze będzie miał mój Bartoś na książkę; on nie ma powołania na pasterza, niech służy Bogu, ma być księdzem. Wskazawszy nam drogę, pożegnał i wrócił. Dicz nas otacza, lecz za dnia i ślad ludzi i wiechy zatknięte wiodą podróżnego. Mineliśmy gospodę, leżącą pomiędzy skały; mijamy jezioro Dauben, co na ciemnej jego wodzie wieczne ciężą lody; lud z poszanowaniem wspomina to jezioro, bo czary tam się odbywają; rumowiska w około, jakby Jeruzolimy lub Kartaginy gruzy, a naturalista mówi, że to szczątki gór wulkanicznych. Nagle stoimy na szczycie Gemmi, a prosto w dolinie pod nami wody Leuk (les bains de Louèche). Góra tak spadziła, żebyś mniemał, iż koza alpejska zaledwo się wskrobie, a tutaj wykuta w skałe dróżyna, co bezpiecznie wiedzie do wsi. Było to w dzień Ś. Maurycjusza, patrona Kantonu Wallis; lud liczny zgromadził się do kościoła w pięknych szatach świątecznych; po nabożeństwie wychodzi cała gmina w processyi przed wieś odebrać owce, które dzisiaj pasterze przypędzają z gór, jestto uroczystość dla ludu. Wody Leuk leżą w kotle skalistym; trzy drogi prowadzą w tę dolinę, jedna przez Gemmi, druga ku Wallis, tylko dla mułów i ludzi; a trzecia jest droga z drabinami (le chemin des échelles). Do skały prostopadłej dziewięć przyczepionych drabin, a starce i dzieci, ciężary niosąc, z największą zgrabnością wchodzą i schodzą. W Leuk samém prócz dwóch hotelów są ubogie tylko chaty chłopskie, ciepłe źródło siarczane Ś. Wawrzyńca w Kantonie ma sławę dla skuteczności na

żołądek, mało jednakże zwiedzane, bo urządzenia niewygodne. Dróżyną przez miasto Siese, ponad piaszczystymi Rodanu brzegami, wzdłuż doliną Wallisu, idziemy dalej. Z drugiej strony Rodanu, co tutaj miałkie i brzydkie ma łożysko, idzie droga zwirowa, co wyżej zwie się drogą Simplonu. Wallis jestto przedsiemek Włoch. Niebo ciemno-błękitne, winnice liczne, drzewa orzechowe, kasztany, a w Sionie podobno i pomarańcze na wolnym dojrzewają powietrzu. W winnicach ludzi pełno, już winobranie rozpoczęte, lud uprzejmy podróżnych na grona zaprasza i hojnie częstuje. Ruiny zamków liczne, nadreńskie przypominają okolice. Sion, miasto dość ładne, stolica Kantonu, leży nad górą w półkole, rogi miasta tworzą dwie góry, których szczyty wielkie wieńczą ruiny, Tourbillon i Valeria. Nazajutrz stanęliśmy w Martigny znów u stóp gór, tu trzy się rozchodzą drogi do Genewy, na górę Ś. Bernharda i do Chamouny. Martigny, u Rzymian Octoduzum zwane, piękne ma położenie; z zamku pobliskiego jedną stroną całą widzisz Wallisu dolinę, drugą jezioro Lemanu i wodospad Sallenche. Kto do Chamouny idzie, ten przez col de Frient zchodzi w dolinę Frient, otoczoną górami Sabaudyi. Ztąd dwie wiodą drogi do sławnego Chamouny. Z jednej col de Balme i przez Tete-noire; z pierwszego widok na całe pasmo gór pobliskich, lecz droga trudna pod górę, a dzień pochmurny nie obiecuje widoku, więc wybieramy Tete-noire. Droga wygodna, bogata w najrozmaitsze widoki, doliny, góry, wodospady: mijamy granicę Sabaudyi bez wszelkich trudności; droga kręta obchodzi koło góry (col de Balme) w dolinę Val Orsine, a dalej za górą leży już Chamouny i góra Biała.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

### Dzień 3. Maja 1791 r.

W dziejach narodu naszego niemasz może ważniejszej chwili nad dzień 3. Maja 1791 r. Miał on stanowić o przyszłym losie Polski, wprowadzając formę rządu zgodną z duchem czasu i potrzebami kraju, znoszącą kilkunieczny nierząd, nadającą narodowi siłę i krzepkość i jedynającą mu u postronnych szacunek, ale zarazem wzniesającą u sąsiadów obawę, skutkiem której i wewnętrznych niezgód, niestety! zgon ojczyzny naszej przyspieszonym został. Stanowczą tę w życiu narodu naszego epokę podało wielu pamięci potomnych rylcem, albo piórem. Między innymi Gustaw Taubert przeniósł ołówkiem na papier chwilę, w której Król na nową Konstytucyą przysięgę narodowi w izbie sejmowej składał (\*). Artysta niemógł lepszej obrać pory; izba i arbitrowie, ożywieni

najśladszą nadzieją przyszłego szczęścia ojczyzny, nie posiadali się z radości. „Senat i wszyscy prawie Posłowie“ — mówi autor dziełka: *Dzień trzeci Maja*, „ruszywszy się na środek izby, prosili najgoręcej Króla, aby nową Konstytucyą przysięgą swoją utwierdził raczył. Okrzyk jednostajny, pełen najwyższego zapału, tłumiał głos JP. Marszałka sejmowego, pytającego się o zgodę, która już nie po trzykroć, jak zwyczaj, ale po tysiąc razy powtórzona, była oraz dowodem powszechnej radości, którą wszystkich umysły przejęte zostały na widok momentu, który przynosił ojczyźnie rząd dzielny, trwały i niepodległy. Mocy czucia i zapału nie zdołała uskromić powaga lasek, nakazując milczenie. Okrzyki: *Vivat Król! Vivat nowa Konstytucya!* rozlegały się po izbie sejmowej. Powtarzał je lud mnogi, zgromadzony na dziedzińcu zamkowym i bliższych ulicach. Najjaśniejszy Pan, otoczony zbiorem sejmujących i arbitrow, zniewolony usilną wszystkich prośbą, gdy dla wzniesionych rąk do góry, na znak radości i chęci wykonania przysięgi, niemógł być od wszystkich widzianym, wstąpił na swe krzesło, i za ucieszeniem się izby w skinienie Pańskie, rzekł: „Gdy widzę stałą i wyraźną sejmujących wolę, abym wykonał przysięgę na Konstytucyą narodową, wzywam zatem Ciebie pierwszy Kapłanie tu przytomny, Mci Księżę, Biskupie krakowski, ażebyś mi przeczytać raczył rotę przysięgi, dla wykonania jej przezemnie!“ Zbliżył się do tronu Księżę Jegomość Turski, Biskup krakowski, mąż którego cnota i zasługi postawiły na stopniu powszechnego szacunku w narodzie, i czytał rotę, a Król Jegomość położywszy rękę na Ewangelii, trzymanej przez JX. Gorzeńskiego, biskupa smoleńskiego, też przysięgę powtarzał.“

„Jak miły był ten widok sejmującym i przytomnej publiczności, nie tylko głośnieją ponownie okrzyki, ale iży nawet radośne tłumaczami były. Podniesione do góry czapki i kapelusze, nietylko były oznaką ukontentowania ludu, odzyskującego w tym dniu swą wolność, świetność i szczęście, ale też razem i chęci mężnego bronięcia tak świętej ustawy. Po wykonanej przysiędze odezwał się Król w te słowa: „*Juravi Domino, non me poenitebit.* Przysięgłem Bogu, żałować tego nie będę. Wzywam teraz kochających ojczyznę, niech idą za mną do kościoła na złożenie Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczyste go i zbawiennego dopełnić dzieła.““

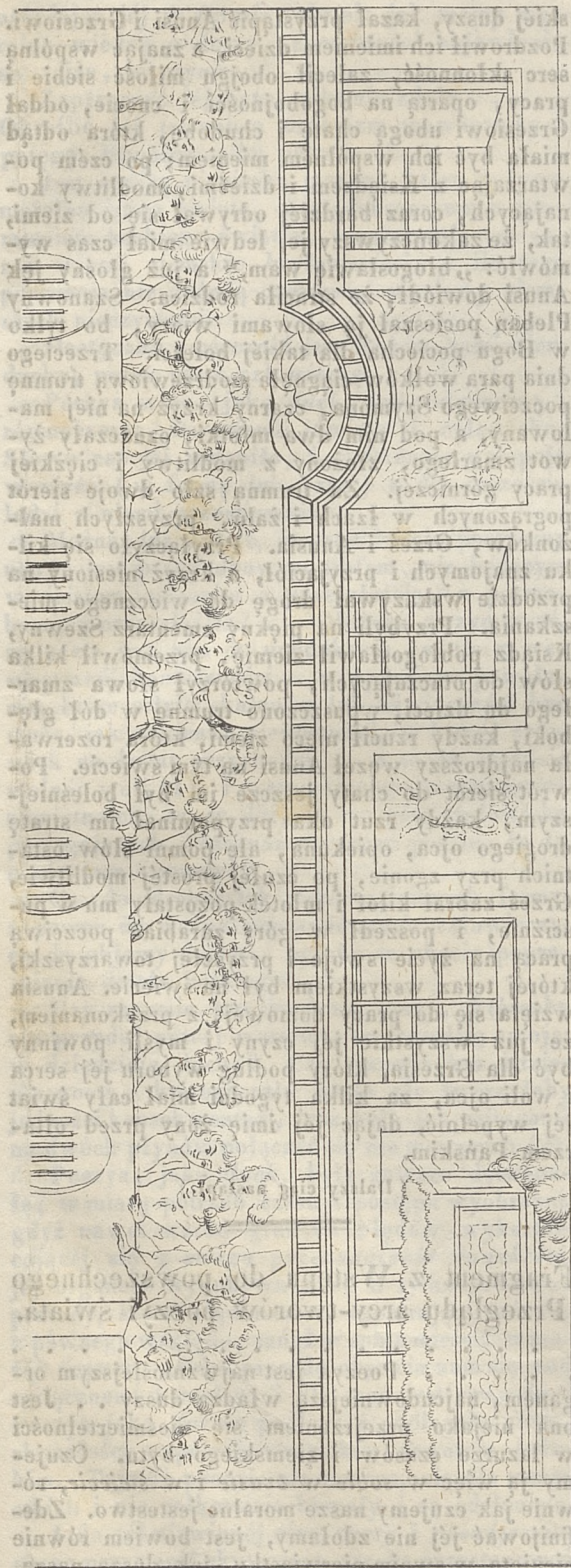
„Ruszyli się zatem do kościoła kollegiaty tutejszej senatorowie, ministrowie, posłowie, i arbitrowie, ale już zastali napelniony magistratem i cechami miejskimi. Ulice poblizsze napchane rozmaitym ludem, wszystkich głos był tylko jeden: *Vivat Król, vivat Konstytucya rządowa!* Brzmiał ten okrzyk w kościele i na ulicach przez czas długi, a tem silniej się wzma-

(\*) Rycinę tę udzielił łaskawie Redakcyi P. Adam Rościszewski, gorliwy o dobro literatur sławiańskich.



gał, gdy Król Jegomość przybywszy do kollegiaty i stanąwszy przed wielkim ołtarzem, po-

kazał się zgromadzonemu ludowi. Przyniesieni prawie na rękach arbitrów marszałkowie, sej-



mowy i konfederacyi, stanęli przed Najjaśniejszym Panem.“

## Wspomnienie z sandomirskiego.

### Sąd Skarbnika.

#### Powieść z podania Górników.

##### I.

#### Chata Górnika.

Słońce ostatnim promieniem zęgało krzyżę wież pięknego kościoła w Szewnie; wieczór wiosenny, z całym swym urokiem, rozlał się po czarownej dolinie Kamionny, której brzeg prawy wdzięcznie się uśmiecha do przechodnia, nęcąc go wśród swe żyzne i malownicze pagórki, w przeciwieństwie z lewym, dzikim, piaszczystym i leśnym. Nedorostki pasterze wracają do siola, nucąc wesołe piosenki, popędzając przed sobą liczne trzody, upornie wracające z wiosennego pastwiska. Przed każdą chatą, gospodyni zwołuje swą trzodę, swe gąski, kury, a gospodarz powraca, z poczciwą parą wózków i skrzypiącym pługiem, z urodzajnej niwy, gdzie rzucił ziarno nadziei swego całoročnego bytu. Przed każdą chatą, ruch, krzątanie się, a wreszcie modlitwa, bo do różnodźwięcznej muzyki, którą ruch całego siola tworzył, przyłączył się srebrny głos dzwonka z wieży kościoła, wzywający na „Anioł pański.“ Wkrótce jakby echo odpowiedział mu drugi z sędziwego modrzewiowego lasu, na sąsiednim pagórku; znak to dla Górników, by opuszczali swą podziemną krainę pracy, i znów na noc jedną wrócili na ziemię do rodzin, przyjaciół, które ich prawie w każdej chacie czekały na progu. Jedną się tylko chata nie otworzyła; smutek i cierpienie obrały tam dzisiaj mieszkanie; w chędogiej choć ubogiej izdebce było smętnie, jak na świecie w dniu spotkania się jesieni z straszną swą siostrą zimą; w rogu izby na słomianem posłaniu, leży złożony ciężką chorobą stary Szymon, Górnik z Górników, a jedyna jego pociecha, dobra Anusia, nieopuszczając kądzieli, skraca o ile może śpiewem, rozmową, przydługie godziny dla cierpiącego ojca, kiedy niekiedy tylko rzuci w okno wzrokiem niepokojącym w okolicę, jakby wyglądała pomocy czy podziału starań koło chorego, a serce może czegoś więcej jeszcze oczekuje. Znużony Szymon prosi, by mu zanuciła piosenkę górniczną; posłuszna Anusia nieopuszczając roboty nad kądzielą, zawodzi następną śpiewkę:

Nie masz, jak życie Górnika,  
Co dzień w głębi ziemi znika.

Jeżeli nie dobrym człowiekiem,  
Loch się trumny zda mu wiekiem.

Strach sumienie z czynem skłóci,  
A słońce do cnoty zwróci.

Jeżeli zaś w cnotę bogaty,  
Rad w ciemne wstępuje światy.

Bo choć tam słońce nie świeci,  
Bóg nie zapomni swych dzieci.

Byłaby może hoża Anusia dalej nuciła, ale mimo że kilka razy w czasie śpiewu, uśmiech zadowolenia zawitał na zgrzybiałych chorobą i wiekiem licach Szymona, jednakże czuł się słabszym, kazał zapalić lampę przed obrazem Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, i Anusi klęcząc odśpiewać: „Kto się w opiekę;“ a sam pokornie powtarzał za nią proste, ale unoszące słowa pieśni pobożnej. Na twarzy Anusi malował się niepokój stroskaniej córki o stan rodzica, który może większej, jak ona udzielić mogła, potrzebuje pomocy, a nie chcąc ją zasnuć, ukrywa to przed nią. Właśnie też w tej chwili otwarły się skrzypiące drzwi, i wszedł do chaty przystojny parobek, Górnik jak widać z odzienia; z radością powitał stary Szymon, wołając do siebie i przytulając do piersi, którego wychował od dziecka, wzięwszy drobną sierotą w dom swój, po śmierci biednego przyjaciela i kuma, w którego przelał silną miłość swego stanu, którego wreszcie na zięcia sobie przeznaczył; tém bardziej mu się ucieszył, że boleśnie mu było dotąd go nie widzieć przy swém łożu, czując, że się zbliżają ostatnie chwile dla niego. Anusia czule podała rękę Grzesiowi, bo nie wstydziła się serca swego, Grzesz przyjął ją w swe żyłaste dłonie z zapamiętaniem młodzieńczych. Spędzili noc na czuwaniu przy łożu, ona najlepszego ojca, on opiekuna dobrodzieja. Sen nie spoczął na powiekach starca, głuchy jęk jedyną był oznaką życia, w tej tak długiej dla złośliwego serca Anusi nocy. Nad rankiem podniósł się chory na łożu, twarz zajaśniała ogniem życia, serce Anusi zadrzało radością; zawołał Grzesia i kazał mu iść spieszenie do Księdza z prośbą o przybycie z świętymi Sakramentami, a tak cała radość Anusi w chwili przelała się jedynie w nadzieję, że Bóg w łasce nieprzebranych, osobiście wstępując w łono człowieka, nowém życiem go ożywi. Skoro Grzesz wyszedł, stary Szymon kazał Anusi zamieść izbę, wysuć piaskiem podłogę, pomyć stoły i ławy, pozapalać lampy przed świętymi obrazami, sam się jak mógł z jej pomocą przybrał w świeżą bieliznę, i tak ogarniony, spokojnie rozmyślając, przy głośnych łzach Anusi czekał nawiedzenia Zbawiciela. Niezadługo ozwał się dzwonek ogłaszający zbliżanie się Namiestnika Chrystusa, z słowem pojednania i pociechy dla umierającego starca; każdy oddźwięk znalazł echo boleści w duszy Anusi, a twarz starca jaśniała pokorą. Otwarły się drzwi biednej chaty przed Królem Królów, utajonym w przynajświętszym Sakramencie Bogiem; nastąpiła uroczysta cisza, w której starzec wypowiadał swe proste cierpienia duszy, a gdy Ksiądz wyrzekł słowo pojednania w odpowiedzi na słowo żalu i skruchy, wstąpił Bóg w zboleiałe ciało, a uspokojona dusza, przytłumiła cierpienia choroby. Twarz sędziwa Szymona wypiękniała pokojem, głosem co tylko mógł być echem już nieba bli-

skiej duszy, kazał przystąpić Anusi i Grzesiowi. Pozdrowił ich imieniem dzieci, a znając wspólną serc skłonność, zalecił obojgu miłość siebie i pracy, opartą na bogobojności i cnotcie, oddał Grzesiowi ubogą chatę i chudobę, która odtąd miała być ich wspólnym mieniem; po czém powtarzając z Księdzem i dziećmi, modlitwy konających, coraz bardziej odrywał się od ziemi, tak, że zakończywszy je, ledwie miał czas wymówić: „błogosławie wam,“ a już głośny jęk Anusi dowiódł, że straciła rodzica. Szanowny Pleban pocieszał ją słowami wiary, bo tylko w Bogu pociecha dla takiej boleści. Trzeciego dnia para wołków ciągnęła modrzewiową trumnę pocziwego Szymona, czarny krzyż na niej malowany, a pod nim dwa młotki, oznaczały żywot zmarłego, złożony z modlitwy i ciężkiej pracy górniczej. Za trumną szło dwoje sierót pograżonych w łzach i żalu, przyszłych małżonków, Grzesz i Anusia. Przyłączyło się kilku znajomych i przyjaciół, a krzyż niesiony na przodzie wskazywał drogę do wiecznego mieszkania. Przybyli na piękny cmentarz Szewny, Ksiądz pobłogosławił ziemię, przemówił kilka słów do otaczających, powtórzyl słowa zmarłego do dzieci, wpuszczono trumnę w dół głęboki, każdy rzucił nieco ziemi, która rozerwała najdroższy węzeł Anusi na tym świecie. Powrót sierót do chaty jeszcze im był boleśniejszym, każdy rzut oka przypominał im stratę drogiego ojca, opiekuna, ale pomni słów ostatnich przy zgonie, po czulej prostej modlitwie, Grzesz zabrał kilof i młotek pozostały mu w puściźnie, i poszedł w góry zarabiać pocziwą pracą na życie swoje i przyszłej towarzyszki, której teraz wszyskiem był na świecie. Anusia wzięła się do pracy domowej, z przekonaniem, że już wszystkie jej czyny i myśli powinny być dla Grzesia, który podług wyboru jej serca i woli ojca, za kilka tygodni miał cały świat jej wypełnić, dając jej imię żony przed ołtarzem Pańskim.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Fragment z Wstępu do powszechnego Przeglądu arcy-tworów poezyi świata.

.....  
 ..... Poezja jest najwznioślejszym organem, najcudowniejszą władzą duszy. Jest ona niejako przejrzaniem się nieśmiertelności w lazurze czasów i ziemskiego bytu. Czujemy ją więc w sobie w czasie i w świecie, równie jak czujemy nasze moralne jestestwo. Zdefiniować jej nie zdołamy, jest bowiem równie nieujętą w swoim pierwiastku, jak dusza nasza. Rozpoznajemy, odczuwamy ją raczej, gdy jest odlaną w formę, równie jak rozpoznajemy duszę czynem się objawiającą.

Mamy moralną wiedzę o jej istnieniu, nie

oglądając jęj w formie, równie jak mamy moralną wiedzę o duszy, z *możności* objawienia się tężże, w czynie.

Zaprzeczyć jęj bytu, nikt nie zdoła. Określić jęj trwaniem organizm wewnętrznego i potęgę, Stwórca tylko potrafi.

Jest ona tą niebieską manną, którą pożywa moralna istota świata. Jest dobroczynnym promieniem boskiego światła, rozgrzewającym coraz więcej ziemskie brylowatości; o ile tego promienia nie zaćmią czasowo, wyziewy ziemskich nieczystości.

Poetyczna twórczość jest Bożem ramieniem ducha, przez pierś człowieka; Poezya więc, jako *duch*, jest odwieczną i równoczesną stworzeniu świata i człowieka. Słowo zaś jęj wstąpiło, i codziennie wstępuje w świat (w formę lub czyn) i dla szczęścia ludzi z niemi przemieszkiwa.

Możnaż już sądzić, że prawdziwie poetyczny utwór jest przypadkowym trafem, nie będącym w ścisłym stosunku z przeszłością, z potrzebami, z przyszłością? Możnaż utrzymywać, że poeta jest nim z upodobania, a nie z wewnętrznej konieczności, z wyższego powołania, które ostyle skalaniem lub uświęconem być może, jak sukienka niewinności, w której człowiek na świat przychodzi, a to na zasadzie namiętności, to w dół, to w górę człowieka pociągających. Możnaż zarzucać poecie, że to a nie *nowo* stworzył? Coś dowodów drobnych i rekodzielnicznych formy, zapewne że można poprawić utwór człowieczy, co do objawy ducha, byłoby to chęcią poprawiania dzieła boskiego!

Czy rozumie kto istnienie poety, którenby nie przydał nowęj warstwy, twórczością swoją, w dziedzinie ducha? Czy rozumie kto istnienie poety, którego cała istota nie tworzyłaby jedności konsekwentnej, lecz była jak mieszanina dwóch płynów połączyć się nie mogących (2). Poezya, jako *duch*, była zawsze doskonałą, w miarę potrzeb czasu i postępu wyobraźni, gdyż nawet wśród grubych błędów wykształcającej się z *swego* przeznaczenia ludzkości, jęj organem wydobywały się li tylko *prawdy*; prawdy, które błąd nawet, zapatrując nań się z pewnego względu, mógł w sobie mieścić w małej cząstce. Gdyż prawda objawia nam się pod tysiącami kształtów, i dla tego jest *prawdą*. Poezya jako *forma* podlega i podlegała niedoskonałości wspólnej wszystkim utworom ludzkim. Tajniki poezji, nie zawsze, nie dla wszystkich i nie całkowicie bywały i są odsłonięte.

I do tęj niewinnej córy *cnoty* i *poświęcenia*, chcąc przystąpić skutecznie, trzeba przystępywać

jak do ŚŚ. Sakramentów, z tuniką niewinności lub skruchy na sercu.

Tak, jako w historii, wszystko jest łańcuchem *konsekwencji*, w filozofii *dedukcyi*, tak w poezji wszystko jest łańcuchem *złąbianych* i *pojętych* uczuć.

Poezya była wiekuiście organem dążności ludzkiej do *dobrego*, do *wzniosłego*.

Była, i jest ona organem miłości ku ludziom, wdzięczności dla Stwórcy, podziwienia i współczucia dla cnoty i wielkości, wstrętu i ochydy dla nikczemności, jakie z kurzawą wieków świat pokryły. Poezya jest tęp dla moralnego życia świata i człowieka, czém krew i soki dla życia materyalnego. Bez krwi, ciało ludzkie, bez poezji światby zlodowaciał.

W zarodku świata i człowieka była we wszystkim, w *wzroście*, i w *rozwijaniu* się; — nie kaźden, i nie wszystko ma w sobie poezyę. Istnieją wśród ludzi *marnotrawcy* i *zuchwalcy*, tak jak istnieją ztraskane ołtarze, skalane naczynia, naznaczone palcem gniewu Bożego miejsca zbrodni, karane w siódmém pokoleniu rody, przeznaczone na przeświadczenie narody, plamy krwi lub niepłodności na czołach ludzkich lub na powierzchni ziemi, spalone piorunem, lub pochłonięte falami wszeteczne grody!

Stosunek ludzi z poezyą, częściej jest *biernym*, niż *czynnym*. W jęj państwie równie jak i w naturze *świat zewnętrzny*, nie wątpliwy wpływ wywiera na *wewnętrzny* i na odwrót.

Nie jednakową przestrzeń zajmowała łuna poezji na horyzoncie świata, w kaźdey epoce. Nie tym samym trybem, i nie w równym zakresie czasu, jęj iskrę rozdmuchują ludzie i wypadki. Nierówno trwałym goręje płomieniem w łonie kaźdego, jak tęp w tęp lub owęj epoce życia ludzkiego, lub w istnieniu świata.

Rozwinięcie się *władz umysłowych* i *żywoćności*, doskonalenie, przez wyrabianie władzy *czucia*, *reakcyja* przeciw wpływowi zewnętrznych okoliczności, nader silnie działają na rozwinięcie się organu poetycznego w *świecie* i w *człowieku*. Przesilenia, nierównowagi, przyciępiania, podbudzania chwilowy wpływ wywierające, są tak mikroskopiczne, że ich nikt ludzkim okiem nie dostrzeże.

Poezya jest iskrą wieczności w łonie człowieczem, a ogrzewającym i oświecającym światłem w życiu świata i człowieka. Wszystko, co nie ogrzewa i nie oświeca (3), nie jest poezyą. Wszystko, co nie ma stosunków z rodzinnem, z narodowem, z moralnem życiem naszym, nie jest poezyą. Wszystko, co nie oddycha *prawdą*, *realnością*, *słowem Bożem*, nie jest poezyą. Wszystko, w czém brakuje ducha, nie jest poezyą.

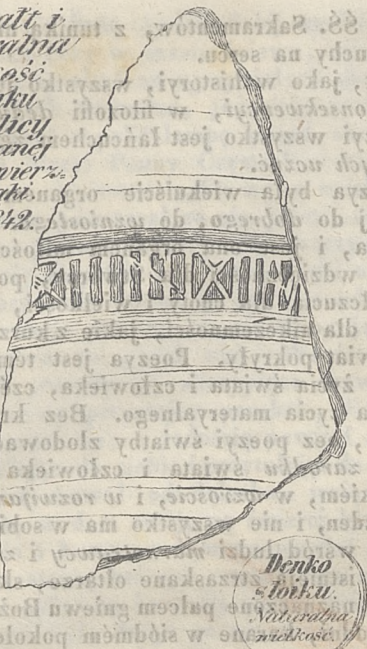
Poeta zaś, jest szklaną, przezroczystą sub-

(1) Libre arbitre.

(2) Octu i oliwy n. p.

(3) Niechaj krytycy nie sądzą, że świece stęarynowe i suche dREWKA na komin, należą do tęp kategorii.

*Isztatt i  
naturalnie  
wielkość  
ciemku  
popielnicy  
wydobycy  
12 pod wierz-  
chem takt  
Rokul 842.*



*Denko  
tinku.  
Naturalna  
wielkość*

### Skorupa popielnicy, wydobytej w Gnieźnie (\*).

teiną kulą, tём światłem nalaną. Promienie rozsuwają z siebie jak pajak nici, i rozlawszy jasności do koła, zajmuje miejsce wśród pocztu gwiazd, mających sterować żeglarzy po Oceanie życia. Lecz paląca materya częstokroć niszczy naczynia, a grubość zewnętrznej powłoki nie dozwala częstokroć także odbić się dość jasno promieniem, lub jest powodem, że szklane bańki nie jako planety około słońca, ale tylko jako drobne cmy około świecy krążą i nikną w płomieniach. Lecz któż żada znaleźć siłę niezłamaną w opilkach żelaza, lub świętość kapłaństwa w kościelnym posługaczu?

W różnych formach przedstawiała się poezya światu, i nie zawsze równo-silnym brzmiała dźwiękiem.

Ludzie przeznaczeniem namaszczeni na to kapłaństwo, nierównie wspaniale wystawiali jej świątynie. „Wielu było powołanych, mało wybranych, wszyscy nieodzownie potrzebni.“

Słabsi natchnieniem i pomysłem, na wzniesionych już przez innych ołtarzach niesli jej w ofierze mniej kosztowne, lecz równie pożyteczne dary. Przychodził czas, gdy musiała się już okazać światu pod inną postacią i naten-

(\* Do listu Dr. Neu umieszczonego w przeszłym numerze P. L.

czas opuszczono dawne przybytki, a stawiano inne, odpowiednie potrzebom i duchowi wieku.

Forma się zmieniała, Duch ten sam zawsze, a co do pierwiastka, inną już tylko objawił swoją stronę.

Złośne Psalmy króla Proroka, odbijały się przez długie wieki o sklepienia niebios i o krańce ziemi, i długo się jeszcze odbijać będą, bo w wielką formę odlał wielkie myśli ten mistrz wielki.

Po tej gwiazdzie religijnej, świętej wewnętrzny blaskiem, po tej pieśni żalowej, którą zblakana dusza człowieka pozdrowiła Stwórcę, wschodzi druga gwiazda, brzmi pieśń druga; pieśń na uczczenie cnót wielkich, i jakimi w swej szczerobliwości, Stwórca obdarował człowieka, pieśń bohaterska Homera, Epopeja w energji i pięknościach niezrównana. Olbrzymi, mistrzowski obraz, zkoncentrowana myśl wyobrażeń, mityczności wymiarów ducha, pierwszych wykształcających się po upadku człowieczym pokoleń. Po Homerze, Pindary, Safony i inni odrzucali na tę nieśmiertelnej lirze ślepego starca z Chio, podobne, lub zbliżone do nich tony, używając tęższe samęj, lub zbliżonej do niej formy... Długo przemawiali jeszcze w ten sposób, do tych młodych i namiętnych pokoleń. Lecz nie w samych tylko ich pieśniach była poezya.

Wszędzie gniezdziła się ona na on czas. Była w marzeniach filozoficznych, w ustawach religijnych, w igryskach, w prawodawstwie.

Była rozlaną w ludziach i po świecie, nie w całym jeszcze swym blasku, i nie w całej wzniosłości, lecz już w kształcie rozległej tęczy, godła przymierza, w kształcie zorzy, zwiastującej (4) wielkie, dobroczynne, niepojęte, skromne, a jednak swym blaskiem oslepiające chrystyanizm słońce.

Wzniosłość, obfitość ducha, w tej skromnej formie „Słowa Bożego“ objęta, przez wybranych, przez dopełniających go w czynie, przez uszczęśliwionych pokojem wewnętrznym, jaki na nich zlewa, dopiero może być oceniona, świat bowiem nie dojrzał jeszcze dostatecznie.

Ta poezya, *Canticum canticorum* wszystkich; to dzieło, na wszystkie wieki i dla wszystkich dostateczne, a przez to utwór nie ludzkiego, lecz wyższego zmysłu; ten hymn, którego ludzkość przez wieczność nucić będzie; jeden dźwięk tylko na wiek wydawała, lecz za każdym dźwiękiem o sto mil dalej go słyszano, znajdowała aż we wnętrzościach ludzkich swoje echo i harmonią swoją świat ma zapełnić z czasem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(4) Platonizm.